

## Królestwo Antalaya i Księżycowy Kryształ

### Tajemniczy sen Laheya

- Jest rok 1867 – dokładnie dwa lata temu zakończyliśmy wojnę między Północą, a Południem - rozpoczął swoim nieco zachrypniętym głosem John Lahey.

Był to stary Jankes, znany ze swojego heroicznego patriotyzmu oraz brutalnych czynów, o których każdy bał się wspominać. W Sunnyvale City uważano go za szaleńca, dziwaka. Często wpadał w ręce policji stanowej za różne zamieszki, straszenie dzieci, czy inne dziwactwa. Opowiadał niestworzone historie z takim zapałem, że wydawało się, że sam w nich uczestniczył.

Na dzisiejszym zebraniu było niewiele osób – głównie młodzież, która szukała rozrywki, Ben – brat Johna, który również był nieco „inny”, jeśli w ogóle można tak o nim powiedzieć, oraz miejscowi starcy, zagorzali Amerykanie. Szeryf, który miał pilnować zebrania nie przybył, bo bał się zamieszek wśród tak oryginalnej grupy. To właśnie dziś w ratuszu miała paść decyzja o włączeniu naszego stanu do Teksasu. Stary John, który od zawsze mieszkał na tej ziemi, który wrósł w nią jak drzewo, był wielkim przeciwnikiem tej idei.

- Luizjana od zawsze była moją ojczyzną, tutaj się urodziłem i tu zamierzam umrzeć, nawet jeśli wymaga to ofiar! Przeleję krew za to miejsce! - wykrzykiwał.

Nikt nie brał go na poważnie. Liczne wizyty w szpitalu psychiatrycznym również nie dodawały mu wiarygodności. Młodzież śmiała się po cichu, a starcy kiwali głowami z zażenowaniem. Jedynie Ben poparł pomysł swojego brata. Razem z nim wszedł na mównicę i zaczęli wykrzykiwać hasła o wolności i demokracji. Ludzie powoli się rozchodzili, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu dalej słuchać tych dziwaków. Spotkanie wyglądało w miarę formalnie, gdyby nie fakt, że odbywało się w starej stodole należącej niegdyś do pani Bucklefield.

Następnego dnia mieszkańcy wydawali się nieco zmieszani. Nikt nie prowadził ze sobą rozmowy, każdy unikał kontaktu wzrokowego. „Od jutra Luizjana oficjalnie częścią Teksasu” – taki napis widniał w nagłówkach wielu gazet. Liczne protesty mieszkańców nic nie dały. Nawet John z bratem, którzy do świtu siedzieli na patio burmistrza, odeszli.

- A więc tak teraz wygląda rzeczywistość – stwierdził ze smutkiem Lahey, siedząc na ławce przed domem, na której zwykle popijał gorącą herbatę.

Spojrzał z żalem na swojego psa i ze łzami w oczach zasypiał, wspominając swoje dzieciństwo i czasy młodości. Przyśnił mu się jego pradziadek, który heroicznie walczył o

niepodległość Stanów. Nigdy się nie poddał, mimo że szanse na zwycięstwo USA były znikome. Wspomnił również o starej stodole pani Bucklefield i o wielkiej tajemnicy, jaką ona skrywa. Błagał o pomoc. Wkrótce starzec zniknął, a Lahey już tylko spokojnie odpoczywał.

- Johnny! Johnny! Zbudź się! – usłyszał nagle nerwowe nawoływanie. Zdenerwowany Ben wpadł do jego chaty by czym prędzej podzielić się nowymi informacjami.

Odkrył bowiem tajemnicę, którą od lat skrywała stara stodoła. Nie był to jednak zwykły sekret. Była to sprawa drogocenna, ważniejsza od tych państwowych, od której zależał los całej Luizjany, Ameryki, a może nawet całego świata.

### **Odkrycie Królestwa**

Późnym wieczorem bracia wybrali się do posiadłości Bucklefieldów. Przez całą drogę milczeli. Słysząc było jedynie szum drzew oraz pohukiwanie sów. Byli niezwykle zdenerwowani, bali się, że ktoś ich zobaczy. Drzwi stodoły zwykle były zamknięte na kłódkę i owinięte stalowym łańcuchem. Tym razem jednak były uchylone, a ze środka wydostawało się dziwne, jaskrawe światło. Mężczyźni ostrożnie weszli, wokół panował wielki bałagan. Wnętrze stodoły wyglądało jak po przejściu tornada. Potłuczone szyby, spalone ściany i dziwny, unoszący się zapach dodawały mroku pomieszczeniu, które zwykle wyglądało normalnie i w ogóle nie przykuwało niczyjej uwagi. Rzeczą najbardziej nietypową w tym chaosie był całkowity brak słomy. Ogromne bale, które do przeniesienia wymagały rąk pięciu silnych mężczyzn, przepadły bez śladu.

- Myślisz, że powinniśmy zgłosić włamanie policji? – spytał brata zaniepokojony Ben.

- Głupcze! Od razu zrzucą winę na nas. Nie chcę znów wracać za kratki! – wykrzyknął brat. – Powinniśmy się raczej rozejrzeć i poszukać sprawców na własną rękę.

Mężczyźni zaczęli rozglądać się po pomieszczeniu i szukać poszlak. Nagle Ben potknął się o coś. Ten z pozoru zwykły wypadek odegrał kluczowe znaczenie w życiu braci, zmieniając je już na zawsze. Ben zawołał brata. Jego uwagę przykuła metalowa klamka wjazdu wystająca z ziemi. Bracia otworzyli kłapę i od razu padli na ziemię, oślepieni niezwykle silnym światłem. Popatrzyli na siebie zdezorientowani, po czym zajrzeli do środka. Ich oczom ukazały się kręte schody. Zawahali się przed wejściem, lecz po chwili już zmierzali w dół. Wkrótce znaleźli się w przeogromnej sali. Wydawało się, że była ona większa od całego Sunnyvale City. Ich oczom ukazało się miasteczko, lecz nie był ono zwykłe, takie, z jakim Laheyowie mieli do czynienia na co dzień. Mieszkańcami były tajemnicze istoty - krasnoludy. Bracia przetarli oczy ze zdumienia. Wydawało im się, że znów mają zwidy, jak za czasów, gdy butelka whisky wystarczała im na niecałą godzinę.

- Straże! Brać ich! – wykrzyknął Iguanod.

Był on najstarszym z krasnoludów i pełnił funkcję wodza podziemnego królestwa Antalaya, które od miliardów lat znajdowało się tuż pod Sunnyvale.

John i Ben zostali zaprowadzeni do Sali Obrad, gdzie wypytano ich o całe doczesne życie. Bali się, ale w głębi duszy czuli, że są potrzebni i nie bez powodu znaleźli się w tym miejscu.

- Od lat nikt do nas nie zaglądał – zaczął Iguanod. Myśleliśmy, że Królestwo zostało zapomniane. Pragniemy przeprosić was za pojmanie – myśleliśmy, że Erbowie ponownie szturmują nasze ziemie.

- Kto?! – spytał John, który powoli zaczął tracić swoją amerykańską pewność siebie.

- Erbowie. – powtórzył wódz. Zaraza! Przeklęta zaraza! Od lat próbują zdobyć nasze ziemie. Zdziesiątkowali nasze plemię. Zabijają wszystko, co stoi na ich drodze. Mężczyzn, kobiety, nawet bezbronne dzieci! Wkrótce nasz ród przestanie istnieć. Wy, ludzie i cała wasza cywilizacja będziecie ich następnym celem.

John i Ben z zaciekawieniem słuchali historii Iguanoda. Zrodziła się w nich chęć pomocy, a równocześnie bezradności, gdyż nie wiedzieli, w jaki sposób mogą ocalić Królestwo. Postanowili zostać na noc, by w razie kolejnego ataku wesprzeć Istoty.

- Ach, gdybyśmy tylko w jakiś sposób zdobyli Księżycowy Kryształ, źródło siły Erbów... – dumiał wódz, przygotowując przybyszom posłanie.- Wszystkie nasze problemy zostałyby rozwiązane a w Antalayi znów zagościłby spokój.

Po tych słowach odszedł, a nad całym Królestwem zapanowała noc i wszyscy udali się na spoczynek.

- A może my zdołalibyśmy zdobyć ten kryształ? – zastanawiał się John Lahey, chcąc odkupić śmierć wszystkich ludzi, których zabił podczas wojny.

- Straciłeś rozum? I my możemy przypłacić to życiem! – odparł Ben.- Idź spać, a jutro z samego rana uciekamy stąd i żyjemy, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Wizja ucieczki wydawała się kusząca, gdyby nie fakt, że Istoty postanowiły zamknąć włącz. Chciały, by bracia pomogli im w zdobyciu Kryształu i ocaleniu Królestwa...

## Wyprawa po Księżycowy Kryształ

Plany ucieczki spaliły na panewce. O świcie mężczyźni zostali zabrani do biblioteki, gdzie przedstawiono im plan szturm na Królestwo Erbów.

- Niejeden odważny próbował zdobyć Kryształ, jednak nikomu się to jeszcze nie udało  
- powiedział ze smutkiem Iguanod. Nawet jeden z ludzi, Mark próbował...

W tym momencie zdanie przerwał mu John.

- Mark! Mark Lahey! Czy to on? Czy on był tym śmiałkiem? – spytał zaciekawiony, przypominając sobie słowa dziadka, który prosił go we śnie o pomoc.

- Tak, synu. Mark, ach dzielny Mark! Gdybym zdołał go wtedy ocalić...- odrzekł Iguanod i natychmiast łzy napłynęły mu do oczu.

Został pojmany przez Tanota, wielkiego wodza Erbów i skazany na wieczne tortury. Kto wie, jak długo jeszcze zostanie przy życiu...

- Ocalimy go! – wyrwał się Ben, który wreszcie zrozumiał, jak ważna jest jego pomoc.

Bracia popatrzyli na siebie z nadzieją i przeszli do analizowania planu.

- Uderzymy tutaj dziś w nocy, gdy Erbowie nie będą przygotowani – wskazał na mapie naczelnik wojska. Dostaniecie broń i broń laserową. Przedrzemy się przez dżunglę, a następnie udamy się na wzgórze Sirko, gdzie w jaskini znajduje się kryształ. W drodze powrotnej wstąpimy do pałacu Tanota, by ocalić waszego dziadka.

Plan wydawał się dosyć czytelny i możliwy do zrealizowania. Bracia przyzwyczaili się do nowej rzeczywistości i zrozumieli, że bez współpracy i walki nie wydobędą się z podziemi. Resztę dnia spędzili na nauce strzelania, gdyż od lat nie mieli w ręku broni. Strach odszedł na drugi plan. Pozostała jedynie chęć ocalenia dziadka i Królestwa Antalaya.

Gdy zapadł zmierzch, pięćdziesięciu zbrojnych z wodzem armii na czele oraz bracia Laheyowie, udali się na zachód, ku wielkiej bramie. Gdy doszli do wejścia prowadzącego na ziemię Erbów ujrzeli zniszczony, zboczony krwią napis: „Głupcze, wchodząc tu - porzuć nadzieję”. Nikt jednak nie zawrócił. W ciszy pchnęli ogromne wrota, które zaskrzypiały i po chwili ujrzeli mroczne królestwo. Po drugiej stronie bramy świat wydawał się całkiem inny. Wszystko było ciemne i mroczne. Nie było tam widać żadnych oznak życia. Wojownicy zatrzymali się na moment, by się rozejrzeć. Wokół panowały głucha cisza i pustka, z jakimi nigdy dotąd się nie spotkali. Po chwili wódz wyciągnął kompas i wskazał, w którą stronę należy się kierować. Ogarniał ich całkowity mrok, a drogę rozświetlał jedynie blask pochodni.

Szli przez kilka godzin, aż znaleźli się na skraju dżungli. Był to przerażający las, z ponad stumetrowymi drzewami, przypominającymi kości, wyjątkowo gęsty, a z jego środka wydostawała się ohydna woń padliny.

- Załóżcie maski! Gaz jest śmiertelny - rozkazał naczelnik wojska. - Wyciągnijcie maczety i broń. Przedarcie się przez taki las jest wyjątkowo niebezpieczne – dodał.

Mimo, iż przeszywał ich śmiertelny strach, wdarli się w głąb dżungli. Słychać było dźwięki maczet, rozcinających liany, łamiące się gałęzie, a od czasu do czasu rozkazy wodza armii. Ta wędrówka wymagała niezwyklej kondycji.

- Stać! – krzyknął nagle jeden z krasnoludów.

Wszyscy podeszli do niego i zamarli. Ich oczom ukazał się okrutny widok. Na ziemi leżała martwa antylopa, a robaki wyjadały jej wnętrzności. Nie wyglądało to na zwykłą śmierć. Została pokonana przez drapieżnika, na co wskazywały ślady potężnych zębów i szponów pozostawionych na jej ciele.

- Widziałem już kiedyś takie okrucieństwo. To robota smoka – kontynuował krasnolud. – Wyjątkowo krwiożercza i ohydna bestia. Oj... gdybyśmy go spotkali...

- To co? To co wtedy? – przerwał przerażony Ben.

Krasnolud spojrział na niego z politowaniem, po czym odwrócił głowę.

- Musimy się spieszyć! Może być w pobliżu – powiedział energicznie stwór.

Wódz armii wydał polecenie i wszyscy ruszyli w dalszą drogę, bacznie się rozglądając. John i Ben szli w środku grupy, niedowierzając, co się właśnie dzieje.

- Krasnoludy, elfy, a teraz smoki. Jeszcze niedawno wydawało nam się, że to bajeczki, historie wyssane z palca – stwierdził John, chcąc rozładować napięcie. – Teraz wszystko to jest rzeczywiste. Ciekawe, co jeszcze nas czeka...

Wojownicy wraz z braćmi szli przed siebie, przedzierając się przez gąszcz dżungli. Byli już głodni i zmęczeni, ale nie mogli odpocząć, gdyż z każdej strony czyhało na nich śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Koniec dżungli! Udało nam się! – krzyknął naczelnik prowadzący orszak

Wtem rozległ się ogromny huk. Jeden z krasnali padł na ziemię.

- To pułapka! Kryć się! – wykrzyczał w biegu któryś z wojowników.

Wybuchło ogromne zamieszanie, a stres i strach, które gromadziły się w braciach przez całą wędrówkę, eksplodowały w jednym momencie.

- Ukryjmy się w tym drzewie! – zawołał John wskazując na stary dąb, w którego niegdyś uderzył piorun.

Gdy wszyscy znaleźli już schronienie, naczelnik zaczął:

- Mogliśmy się tego spodziewać. To pułapka na smoki Erbów. Nie możemy pozwolić sobie na więcej ofiar! – kontynuował. - Musimy być jeszcze bardziej ostrożni... Miejscowi mogli usłyszeć huk. Trzeba pozostać w ukryciu.

Śmierć jednego z braci oraz okropny hałas wstrząsnęły armią. W głębi duszy czuli jednak ulgę, bo nareszcie mogli odpocząć, najeść się i nabrać siły.

Po kilku godzinach ruszyli w dalszą drogę. Rozdzielili się jednak na 3 grupy - w razie, gdyby zaatakował ich wróg, mogliby odeprzeć atak z innej strony. Armia miała wielkie opóźnienie. Powinni być na miejscu trzy godziny temu. Ci jednak dopiero zauważyli szczyt góry Sirko. Wędrówka stała się wyjątkowo męcząca – było samo południe, słońce prażyło wojowników, a grząskie podłoże sprawiało, że wydawało się, iż postawienie jednego kroku trwało całą wieczność. Po kilku śmiertelnie męczących godzinach podróży dotarli na miejsce.

- Jesteśmy u stóp góry! – rzekł krasnal, który dowodził grupą, w której znajdowali się bracia. – Poczekamy na resztę. Macie chwilę odpoczynku.

Wycieńczony John usiadł na starym pniu. Nie mógł uwierzyć w wydarzenia, w których uczestniczył. Zapomniał o sporze, który toczył się na powierzchni. Zapomniał o swojej ukochanej Luizjanie, która lada moment miała stać się częścią Teksasu. Kto wie, być może już się tak stało - w końcu nawet nie wiadomo, która godzina jest tam, „u góry”. Wspominając swoją ukochaną ojczyznę, przypomniał sobie, dlaczego tu jest i że warto walczyć, by znów móc w spokoju usiąść na ławce przed domem. Gdy Lahey rozmyślał, pozostałe grupy dotarły na miejsce. Nikogo nie brakowało. Wszyscy byli zmęczeni, ale szczęśliwi, że znów mogą się zobaczyć. Dopiero w tym momencie John i Ben przyjrzeni się górze. Jej najłagodniejsze zbocze było niemal pionowe. Nie było tam żadnych roślin, jedynie skała, a od czasu do czasu małe wgłębienie, w którym być może mieszkało jakieś stworzenie. Góra była tak wysoka, że stojący u jej stóp, nie widzieli wierzchołka. Była o wiele wyższa nawet niż te w Stanach, które w czasach młodości widział John, podróżując po Teksasie.

- Teraz czeka nas największe wyzwanie – rzekł naczelnik armii. - Niebezpieczna wspinaczka. W każdym momencie możemy zostać zestrzeleni przez Erbów lub zauważeni przez smoki. Musimy się z tym liczyć i ciągle mieć naładowaną broń.

W czasie przemowy naczelnika, strzelcy przygotowywali kusze z linami i hakami, które miały zakrzywione końce. W jednym momencie wystrzelili w górę, a liny zaczepiły się o

wierzchołek. Jaskinia z Kryształem znajdowała się zaś tuż przed szczytem góry. Rozpoczęła się wspinaczka. Jako pierwsi szli najodważniejsi, następnie bracia Laheyowie, a na samym końcu wojownicy, którzy obroniliby grupę w razie ataku nieprzyjaciela. Ta stroma wędrówka była niezwykle katorgą. Lina wrzynała się w zakrwawione dłonie mężczyzn, a w kończynach brakowało sił. Od czasu do czasu słyszano z oddali ryk smoka i dźwięk dzwonu z pałacu Tanota. Po drodze John próbował rozmawiać ze swoim bratem, jednak wysiłek był tak duży, że każde wypowiedziane słowo było dla niego męką.

Gdy armia w była połowie drogi, rozległ się charakterystyczny trzask pękającej liny. Całe wojsko zamarło.

- Pomocy! Spadamy! – krzyknęły z przerażeniem w oczach krasnoludy, które wspiwały się tuż obok braci.

- Daj mi rękę, szybko! – rozkazał Ben, wystawiając dłoń w kierunku jednego z nich.

Lahey zdołał złapać spadających towarzyszy, lecz siła, którą miał w ramionach nie wystarczała, by utrzymać Istoty.

- Wystrzelcie nową linę! Prędko! – krzyknął łamiącym się głosem John, próbując pomóc bratu.

Strzelcy natychmiast wzięli w ręce kusze i załadowali je grubym sznurem, po czym szybko wystrzelili. Rozbrzmiał głuchy dźwięk haka, który uderzył o skałę oraz echo, wydobywające się z jaskini.

- Jesteśmy już blisko! Jeszcze trochę i będziemy u celu – oznajmił naczelnik.

Reszta wspinaczki przebiegła bez problemów. Nie zostali zauważeni przez Erbów, ani smoki. Pierwsze krasnoludy zaczęły wchodzić na klif, następnie znaleźli się tam John i Ben oraz reszta armii. Istoty były niezwykle wdzięczne Benowi za ratunek i obiecały mu przysługę. Gdy wszyscy byli już na górze, ich oczom ukazała się ciemna grot. Nie było w niej odrobiny światła, a jej wnętrze wyglądało równie odrażająco, jak przepaść, przy której stali wojownicy. Dookoła były porzucane kości i resztki zwierząt. Widok padliny nie dodawał im otuchy do wejścia do jaskini. John, który całe dzieciństwo bawił się w ciemnej szopie, jako pierwszy zdecydował się wejść do środka. Ostrożnie zbliżył się do jaskini i chciał zapalić pochodnię, by rozświetlić sobie drogę. Za każdym razem jednak, gdy zaczynał rozpalać ogień krzesiwem, płomień gasł. - Dziwne – pomyślał Lahey, po czym poczuł ohydny odór, z jakim nigdy wcześniej nie miał do czynienia. W mgnieniu oka domyślił się, że płomień gasł z powodu silnego podmuchu wydostającego się z nozdrzy smoka, a obrzydliwy zapach pochodził z jego paszczy.

- Bestia, kryć się! – krzyknął John, po czym został uderzony ogromnym skrzydłem potwora.

Olbrzymi stwór wyłonił się z czeluści jaskini i porwał troje wojowników do swojej paszczy. Natychmiast zaczęto w niego strzelać, jednak nawet broń laserowa nie zdołała przebić grubej skóry bestii. Naczelnik armii pochwycił kuszę jednego z krasnali i żądny zemsty ugodził potwora w oko. Smok zaryczał donośnie, a wojownicy zaczęli ciągnąć linę w stronę przepaści. Gdy już byli blisko, odsunęli się gwałtownie, a bestia, wydając ostatnie w swym życiu smutne jęczenie, zniknęła w czeluściach. W tym czasie John oprzytomniał i zbierając myśli, czekał na towarzyszy przed wejściem do jaskini i rozpałał pochodnie. Krasnoludy, John oraz jego brat weszli do środka. Nie było tam nic, poza czaszkami antylop, jeleni oraz resztek mięsa. Wkrótce dotarli do miejsca, w którym znajdował się Księżycowy Kryształ. Był on niezwykle cenny, skoro wymagał ochrony przez tak silnego stwora. Komnata była w całości zrobiona z diamentów i złota.

- Spójrz, Ben! Gdybyśmy tylko mogli wziąć część tego świata do siebie, bylibyśmy miliarderami – stwierdził z zachwytem John. – Nie mielibyśmy żadnych problemów. Cały Teksas moglibyśmy mieć na własność, no nie?

Kryształ wydawał niezwykły blask. Kolorem przypominał nieco bursztyn, ale był o wiele większy, niż te znajdowane na plaży. To właśnie tutaj bracia Laheyowie zrozumieli, dlaczego byli tak bardzo potrzebni w misji. Nad Kryształem widniał napis „Jedynie istota z powierzchni może posiąść skarb”. Mężczyźni spojrzeli na siebie z radością w oczach, a następnie na krasnoludy, które zachęcały ich do wyjęcia drogocЕННОści z potężnej gabloty. Obaj podeszli bliżej i powoli, bardzo ostrożnie dotknęli tego wyjątkowego okazu, podnieśli go z miejsca, w którym leżał od wieków. Cała kraina zatrzęsła się momentalnie, a z pałacu Tanota zaczął wydobywać się sygnał alarmowy. W oddali było słychać ryk smoków i jęki wszystkich żywych stworzeń, dla których Księżycowy Kryształ był źródłem siły i życia.

Szybko, uciekajmy! – krzyknął naczelnik armii, po czym wszyscy zaczęli schodzić po linach w dół. – Musimy zdążyć zanim Erbowie zjawią się po nas.

A tubylcy już zaczęli szykować wojsko i wybierać się w stronę góry Sirko, by pojmać krasnoludy i braci oraz udaremnić kradzież kryształu.

### **Ucieczka z Królestwa Erbów**

Gdy już wszyscy znaleźli się na dole i odetchnęli z ulgą, z zarośli zaczęły wyłaniać się wrogie wojska, które czekały z zasadzką na intruzów. Zakuto ich w kajdany i zawieziono



rydwanami prosto do pałacu Tanota. Tam Laheyowie po raz ostatni widzieli swoich, można by już rzec – przyjaciół. W Królestwie Erbów krasnoludy nie miały prawa życia. Od razu po schwytaniu były skazywane na śmierć. John i Ben ze łzami w oczach patrzyli na swoich towarzyszy, którzy zostali zaprowadzeni najpierw do sali tortur, a następnie rzućeni na pożarcie smokowi. Smutek ścisnął ich gardła, a serca rozprysnęły się na milion kawałków. Braci zaprowadzono do lochów, gdzie oczekiwali na spotkanie z Tanotem. Odebrano im Księżycowy Kryształ, który schowano do pilnie strzeżonego sejfów w centrum pałacu. Wkrótce procesja miała odnieść skarb na miejsce, by cała kraina znów zaczęła tętnić życiem.

Po kilkunastu godzinach, gdy bracia byli głodni i wykończeni do skraju możliwości, zaprowadzono ich przed oblicze Tanota – wielkiego wodza Erbów.

- Nikczemnicy! Dlaczego ukradliście nasz skarb? – zapytał donośnym głosem, gdy Laheyowie przykuci do betonowego słupa ze strachem patrzyli na władcę.

Milczeli jednak, bo nie chcieli, by Królestwo Antalaya dłużej cierpiało oraz pragnęli spokoju dla krewnych i potomków swoich przyjaciół. Mieli również nadzieję, że ich pradziadek żyje, że być może spotkają się z nim gdzieś w pałacu Tanota i uratują go. Wielki wódz nie dawał za wygraną. Próbował różnych sztuczek, by wydobyć informacje z mężczyzn. Oni jednak, jako weterani wojenni, mieli bardzo silną wolę i nawet najgorsze tortury nie były w stanie wydobyć z nich żadnych informacji.

- Zaprowadźcie ich do sali mąk i skażcie na śmierć! – powiedział Tanot, który po kilku godzinach starań uświadomił sobie, że i tak niczego się nie dowie. – Tacy jak oni i tak skazani są na potępienie w naszym świecie. To zbędne ogniwo w Królestwie Erbów – dodał, po czym udał się w kierunku dworu.

Bracia byli przerażeni. Myśleli raczej, że swoje ostatnie chwile spędzą gdzieś na farmie w Luizjanie albo w pięknym dworku na Południu, tymczasem ich życie miało dobiec końca w krainie, w której istnienie nie wierzyli jeszcze kilkadziesiąt godzin temu. Równocześnie byli pełni nadziei na spotkanie ze swoim pradziadkiem i chociaż krótką rozmowę. Po kilku minutach spaceru pałacowymi korytarzami, zeszli schodami w dół, gdzie za starymi drewnianymi drzwiami kryła się okrutna sala mąk. Zostali przywiązani do drewnianego pała i umieszczeni kilka metrów nad kotłem z gotującą się, bulgocącą lawą. Strażnicy wyszli, a Laheyowie czekali już tylko na kres swojego życia.

- A więc to tutaj wszystko się zakończy – rzekł ze smutkiem John, czując na stopach gorące powietrze wydobywające się z kotła. – Bracie, wiedz, że zawsze cię kochałem, mimo iż różnie między nami bywało.

- Ach, Johny! A co będzie z naszą ukochaną Luizjaną! Co z naszym rodzinnym domem? – zaszlochał Ben.

Bracia zamknęli oczy, wiedząc, że wkrótce zostaną pochłonięci przez wrzącą lawę i w geście solidarności złapali się za ręce, przebacząc sobie wszystkie krzywdy. W tym samym momencie John wyczuł, że ma w kieszeni jakiś przedmiot. Szybko po niego sięgnął. To był ratunek dla braci. Pasją Laheya było bowiem struganie małych żołnierzyków w drewnie sosnowym. To zajęcie towarzyszyło mu zazwyczaj, gdy wypoczywał na ławce przed swoim domem. Zawsze miał przy sobie scyzoryk, który ojciec podarował mu tuż przed śmiercią.

- Jesteśmy ocaleni – wykrzyczał John i zaczął rozcinać węzły.

Ben otworzył oczy i przerywając modlitwę, która miała być ostatnią w jego życiu, spojrział zszokowany na brata, a po chwili obaj już uwolnieni stanęli na ziemi. Wpadli sobie w ramiona i objęli się tak mocno, jak tylko było to możliwe. Ben nieustannie dziękował bratu za ratunek. Szybko jednak zorientowali się, że mają niewiele czasu. W każdej chwili ktoś mógł wejść do sali, a Kryształ mógł już wędrować z powrotem na górę Sirko. Rozejrzeli się po pomieszczeniu. Drzwi były zamknięte. Jedyным słusznym ratunkiem wydawał się być mały szyb wentylacyjny, który znajdował się na suficie. Bracia zaczęli budować stos z drewnianych skrzyń, które znajdowały się w sali.

- Patrz! – krzyknął nagle do brata Ben, wskazując na małą karteczkę leżącą w kącie. Jej treść brzmiała następująco:

„Jeśli czytasz tę wiadomość, mnie prawdopodobnie nie ma już na tym świecie. Przybyłem tu lata temu, sprowadzony dziwnym światłem pochodzącym ze stodoły. Chciałem ratować Królestwo Antalaya, lecz moje próby zostały udaremnione. Nigdy już nie zobaczę swoich ukochanych dzieci, ani wnucząt. Nie ujrzę piękna Luizjany, ani Sunnyvale City. Teraz, oczekując na śmierć, chcę jedynie spokoju dla krasnoludów. Pragnę, by czytający tę wiadomość zdobyli Kryształ i ocalili ród krasnoludów. Bądźcie silni! Nigdy się nie poddawajcie. Szyfr to 3846...” - w tym miejscu karteczka z wiadomością była naderwana. U jej dołu widniał jedynie podpis autora – Mark L.

- Mark! Mark Lahey! To wiadomość naszego pradziada! – krzyknął radośnie do brata Ben, po czym natychmiast smutek ścisnął mu gardło prawie tak silnie, jak wtedy, gdy po raz ostatni widział swoich przyjaciół. Zrozumiał, że nigdy nie ujrzy już przodka.

W tym samym momencie z korytarza wydobył się dźwięk kroków i słychać było rozmowę.

- To straż! Szybko, do góry! – rozkazał Ben, po czym silnym pchnięciem wyrzucił kocioł z lawą, by uniemożliwić wejście do sali. Wspiął się do szybu i za bratem udał się w kierunku wyjścia.

Kanały wentylacyjne w pałacu były niezwykle rozbudowane. Prowadziły do każdej sali i komnaty, skąd wychodziły na zewnątrz budynku. Sygnał alarmowy znów zabrzmiał. Nie chodziło tym razem o Kryształ, ale o zbiegłych więźniów. Bracia coraz bardziej się denerwowali, ale wiedzieli, że nie mogą wrócić bez skarbu. Wiedzieli również, że cała straż pałacowa ich szuka, co oznaczało, że sejf z Kryształem był przez jakiś czas niestrzeżony, o ile w ogóle skarb był jeszcze w pałacu. Ben, który jako pierwszy czołgał się w kanałach, szybko znalazł otwór wentylacyjny w centrum zamku, gdzie znajdował się sejf. Bracia zachowywali się jak najciszej potrafili i byli niezwykle ostrożni, byleby znów nie wpaść w ręce straży. Stanęli przed ogromnymi żeliwnymi drzwiami, otwieranymi na pięciocyfrowy szyfr. Ben w mgnieniu oka przypomniał sobie wiadomość pozostawioną przez pradziada i cyfry, które w niej zapisał. Brakowało jednak ostatniej. Lahey zaczął kolejno wpisywać 3...8...4...6... . Tu zatrzymał się, bo dalszy ciąg był nieznan.

-Nie mamy czasu! Pięć! Wciśnij pięć! – krzyknął zdenerwowany John. Piątka od zawsze była jego szczęśliwą liczbą. Urodził się piątego czerwca, na piąte urodziny dostał swojego pierwszego rumaka, a na wojnie pięciokrotnie uniknął kuli. Myślał, że i tym razem okaże się szczęśliwa.

Ben zawahał się przez chwilę, ale wykonał polecenie brata. Charakterystyczny trzask świadczył o tym, że sejf otworzył się. Bracia przesunęli potężne drzwi a ich oczom ukazał się kryształ, ale wydawał nieco mniej jaskrawe światło.

- Udało się Ben! Kolejny raz daliśmy radę! – radośnie westchnął John, poklepując brata po ramieniu. – Teraz musimy uciekać.

Ben wyciągnął Kryształ z sejfu i obaj ponownie weszli do kanałów wentylacyjnych.

- Nie możemy zostawić tutaj krasnoludów. Nie wiemy przecież czy wszyscy zginęli – powiedział nagle John, czołgając się w ciasnym kanale.

- Masz rację bracie, oni też by o nas nie zapomnieli – stwierdził Ben. – Zawracamy.

Bracia udali się w stronę ogromnej klatki, w której przebywał smok. Spojrzeli przez otwór wentylacyjny. Nie było już nikogo. Wszyscy zginęli w męczarniach.

- Ratunku... Pomocy... – nagle bracia usłyszeli ciche nawoływanie. Był to naczelnik armii, który jako jedyny zdołał ustrzec się przed krwiożerczą bestią. Schował się w jednym z zakątków celi. Wykończony siedział kilka kroków nieopodal smoka. Ucieszył się na widok

przyjaciół, ale czuł lęk, znajdując się w pobliżu potwora. Ben podał mu rękę, a ten cichutko, jak mysz, wspiął się do kanału i razem z braćmi zaczął czołgać się w kierunku wyjścia. Przedostali się na zewnątrz pałacu. Natychmiast zostali otoczeni przez straż, która szukała zbiegów w okolicznym lesie. Erbowie wydawali się zmęczeni, wykończeni, bez życia. Uciekinierzy od razu zauważyli osłabienie wroga.

- Bez kryształu nie mają siły. Na mój znak uciekamy. – szepnął do towarzyszy Ben, gdy straże przyciskały ich do muru.

Lahey rzucił Kryształ do góry, najwyżej jak potrafił. Zdezorientowani strażnicy podążali wzrokiem za drogocennym skarbem.

- Teraz! – krzyknął Ben, po czym gwałtownie przepchnęli się pomiędzy Erbami. – Łap kryształ - dodał.

John pochwyił klejnot i w trójkę udali się w stronę dżungli, drogą nieco inną niż ta, którą tu przybyli. Biegli ile sił w nogach, co chwilę odwracając się, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie podąża. Zapadał zmrok. Bracia i naczelnik rozpalili pochodnie. Znowu rozległo się pohukiwanie sów i warczenie dzikich zwierząt. Wszyscy byli wykończeni, jednak tak zdeterminowani, że nawet na chwilę nie zatrzymali się, by odpocząć. Doskwierał im głód, ale odważnie przedzierali się przez gęszcz dżungli przy pomocy maczet. W końcu doszli do bramy. Spełniło się ich marzenie! Z kryształem w ręku, Ben uderzył pięścią w potężne wrota. Po chwili rozległ się zgrzyt, a drzwi do Królestwa Antalaya otworzyły się. Natychmiast zabrzmiał radosny dźwięk werbli i trąb, zwiastujący przybycie podróżników. Na miejscu czekały na nich setki krasnoludów. Widząc jedynie trójkę wracającą z wyprawy, zasmuciły się bardzo, lecz najważniejsze było w tej chwili zniszczenie Kryształu. Wódz Iguanod wyszedł im na powitanie. Z politowaniem pokiwał głową, gdy dowiedział się, jaki los spotkał resztę armii. Zabrał Kryształ i wraz z braćmi oraz naczelnikiem udali się do świątyni Antalaya, by zniszczyć klejnot. Nagle wrota ponownie się otworzyły, a Erdowie, którzy gonili uciekinierów masowo zaczęli wbiegać do Królestwa, niszcząc i zabijając wszystko, co spotykali na drodze. Krasnale próbowały odeprzeć atak, jednak na próżno. Wrogie wojska były o wiele liczniejsze i lepiej uzbrojone. Tymczasem w świątyni kryształ przygnieciony został tysiactonowym głazem, czekającym specjalnie na tę chwilę miliardy lat. Gdy krasnale myślały, że ród poniesie klęskę, Erbowie stopniowo zaczęli słabnąć, po czym umierali jeden po drugim. Ich prochy wróciły za wielkie wrota, do ich krainy. Brama została zasklepią tak, by już nigdy nie można było wtargnąć na ziemię krasnali. Tego dnia wszystkie zakończyło się cierpienie krasnali. Nastąpiła całkowicie nowa epoka – epoka bez Erbów.

## **Powrót do domu i przysługa**

Po tych dramatycznych, ale niezwykle szczęśliwie kończących się wydarzeniach, bracia marzyli już tylko o jedzeniu i długim odpoczynku. Wszystkim poległym w boju wyprawiono uroczysty pogrzeb. Następnie zebrano się na wielkiej, uroczystej kolacji, by podziękować Laheyom za ich heroiczne czyny i uwolnienie Królestwa Antalaya. Naczelnik armii wspomniał Iguanodowi o bohaterskim ocaleniu krasnali przez Bena. W zamian Istoty obiecały, że spełnią jedną rzecz, o której marzą bracia. Po chwili namysłu John i Ben odpowiedzieli zgodnie i zdecydowanie:

- Chcielibyśmy, aby Luizjana nigdy nie stała się częścią Teksasu.

- Załatwione – odpowiedział z radością Iguanod. – Od teraz Luizjana już na zawsze będzie wolnym, niepodległym stanem.

Laheyowie popatrzyli na siebie ze zrozumieniem, a następnie obdarowali ciepłym spojrzeniem wszystkich zgromadzonych na uczcie.

- Nadszedł czas pożegnania – rzekł Iguanod, ponownie dziękując braciom.

John i Ben ze łzami w oczach zaczęli zmierzać w kierunku schodów, którymi przyszli kilka dni wcześniej i kolejno żegnali się z krasnalami. Już po raz trzeci smutek silnie ścisnął serca braci. Właz był otwarty i po kilku chwilach bracia znów znaleźli się w starej stodole pani Bucklefield. Słoma znów była na swoim miejscu, na zewnątrz też wszystko wyglądało jak wcześniej. Była piękna pogoda, dzieci wesoło bawiły się na chodniku. John i Ben udali się do domu. Nikt nawet nie zwrócił uwagi, że w Sunnyvale City brakowało tych dwóch dziwaków. W porannej prasie widniał wielki nagłówek: „Luizjana znów niepodległa”. Ta wiadomość niezwykle rozradowała braci. Po południu John zajął się struganiem żołnierzyków, lecz nie takich jak kiedyś – była to prawdziwa armia krasnoludów. Zmęczony zasnął na ławce. Znów przyśnił mu się pradziadek, tym razem dziękował za pomoc i przyznał, że jest niezwykle dumny ze swoich potomków. Od tamtej chwili Królestwo Antalaya tętniło życiem, jak nigdy dotąd, a krasnale żyją podobno pod Sunnyvale City do dnia dzisiejszego.